

Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty.

No. 17.

Leszno, dnia 28. Październ. 1837.



Dziewka kozacka, Kozak i Czumak.

Kozaczyzna. *)

Niemasz rzeczy, niemasz przedmiotu historycznego badania, któreby miał los, być mniej, a raczej gorzej pojętym, jak Kozaczyzna. Różne przesady, pretensye stron rozlicznych, narodowe uprzedzenia, połączyły się ku zaćmieniu i wy-

krzywieniu zdania względem tego systematu ludów, tudzież narodowości z niego wynikłych. A jednak nad wywodem porządków plemienia kozackiego, nad etymologią wyrazów: Kozak, Czerkies, Hajdama, strawiono wiele czasu i pełnego erudycyi dociekania. Historia i filologia ludów Europy i Azji, dostarczyły wniosków ku rozwiązaniu zagadki, w rzeczy samej mało ciekawej: a tym czasem co ważniejsze względem przedmiotu pomienione zostały.

*) M. Grabowskiego literatura i krytyka. Wilno 1837. 2 T.

Step obszerny pomiędzy dolnym Donem i Dnieprem, był od najdawniejszych czasów koczowiskiem hord pastuszych i rozbójniczych. Gdzie niegdyś błakał się Scyta, po nim Połowiec, tam później wałęsał się, pasł trzodę, a przy zręczności rozbijał błędny Tatarzyn, lub Kozak. W 15. wieku jeszcze, przebywał podróżny ten step niemieszkalny z takim niebezpieczeństwem życia, jak dzisiejszy wędrownik pustynię syryjską pomiędzy Beduinami. W 9., 10., 11. i 12. wiekach, w czasie kwitnienia xięstw południowej Rusi, po tém wielkiem polu i lasach koczowali, błakali się, bili się tu pomiędzy sobą, to za Ruś, to za Rusią, Chazary, Pieczyngi, Połowce. Granice dawniej Rusi nie przechodziły od południa na lewą stronę Dniepru za ujścia Suty; na prawej opierały się o Ruś i wierzchowiska Prutu. Niżej już były koczowiska tych błędnych ludów. Kaniów był właśnie strażniczym miastem ruskim od Połowców. Księstwa ruskie składały się z grodów, t. j. opasanych wałami wiosek, w jakowych mieszkali xiążęta i ich namiestnicy. Pomiędzy temi grodami rozsięte leżały z rzadka mniejsze wioszczyny, futory, rodzaj opłotków na czas zimowy, w których mieszkał lud prosty i chronił się do grodzisk przed nabiegiem obcego plemienia, albo przed mieczem xiążęcia wiodącego wojnę z ich xiążęciem. Potrzeba takowej uchrony ponawiała się ustawicznie. Wróciwszy mieszkanie, znajdował popiół na miejscu opuszczonej siedziby; stawiał więc nową, a z téj musiał znowu uchodzić do grodu. Nie było rozwinięcia społecznego życia, nie było nigdzie bezpieczeństwa, spokojności, jakiej takiej swobody, oprócz grodów. Takimi miastami były: Kijów, Czernichów, Perjasław, Owrocz, Bielhoród i inne. Łatwo pojąć skutki takowego stanu rzeczy. Naszli Tatarzy. Co dawniej trwało rok albo dwa, ciągnęło się teraz wiek cały. Przeszło sto lat wisiał miecz zbójców azyatyckich nad głowami mieszkańców, pozbawiając ich nadziei na dzień jutrzejszy. Nie było wytchnienia, nie było chwilowego pokoju, w czasie, którego możnaby było wynieść z miasta, postawić choć na jedno lato chałupę, wydobyć plon z uprawionego kawałka ziemi. W takim położeniu, wtedy, gdy staje przed oczyma konieczna i nieuchronna zguba, rodzi się w duszy ludzkiej naturalna żądza, raczej iść odważnie na jej spotkanie i poledz, broniąc się do ostatniej chwili, aniżeli czekać jej przyjscia w beczynnej trwodze. Ztąd też, z czasów tatarskiego jarzma, wzięły początek na Rusi dwa stany, a raczej dwa gatunki bytu: grodowy i kozacki.

W północnych krajach ruskich, ocalała, pomimo wstrząśnień, samobytność xięstw, stan grodowy, stan miejski przeważał, i życie społeczne pozostało w dawnym swym kształcie. Lecz w południowej stronie, gdzie zupełnie wyginęli ruscy xiążęta, ich bojarowie, ich drużyny, gdzie upadła władza duchowna, gdzie stale zakocz-

wali Tatarzy, i gdzie miasta, zwątlone pożogą, bez murów, bez obrony, stały za popłochem przyjętymi mieszkańcami, wśród gołych pustyń: tam się pojawił byt kozacki. Byt więc ten kozacki, znaczył właściwie byt tułacza pozbawionego domu i ogniska. Byt kozacki wystawiał przeciwieństwo bytu grodowego. Początek takowego bytu zdeklarował się ostatecznie napływem Tatarów na Ruś, a więc w połowie 13. wieku.

W sto lat później, t. j. w połowie 14. wieku, wypędził Olgerd Tatarów z brzegów dneprowych. Jego namiestnicy rządili w Kijowie, Czernichowie i Nowogrodzie siewierskim. Skutkiem tych zwycięstw, zostawały jedynymi miejscami przytułku dla zbiegów, południowe kąty, za Donem przy azowskiem morzu i za progami dneprowymi ku czarnemu morzu. Tam też właściwie była kolebka kozaczyzny.

Ale zbiegowie zwyciężonych xięstw ruskich znajdowali w tych miejscach uchrony dawniejszych od siebie tułaczy. Były to albo ostatki miejscowych koczowniczych plemion, albo też przychodnie, jak oni. Od dawna granic Rusi strzegły najemne hordy azyatyckie, Turki, czarne kolpaki, plemiona niepodważne, najemne. Słuzżyli oni za pieniądze, zachowywali azyatyckie nazwiska, niewielu z nich przyjmowało wiarę chrześcijańską. Z najdawniejszych czasów są ślady, iż odłączali się od nich tak nazwani (od Rusi zapewne) brodnicy, t. j. kupy orężne, wałęsające się samopas, walczące z kimkolwiek bądź i za kogobądź, za zapłatę. Berlad w Mołdawii było to samo, co później sicz, towarzystwo wojenne osiadłe, żyjące z grabieży i wojny. Oprócz takich brodników, kupił się w te zakąty miejsc nieprzechodnych, włączyć różnych narodów i plemion. Połowce zgnieci między Donem i Dnieprem, Czerniesy z gór, zbiegi od Tatarów i Litwy. Wszystkie te zlewki łączyły się z sobą, chociaż stósownie do miejscowości, w skład jednego ciała wchodziło więcej tego plemienia, nizeli w skład jakiego innego. Tak, w zlewku dońskim przeważał element azyatycki, w dneprowy więcej weszło krwi rodzinnej plemion słowiańskich. Ztąd różnice językowe, w odzieniu, charakterze i obyczajach; a jednak wszystkie te z tylu różnoplemiennych części złożone drużyny, przyjęły jednostajnie język ruski, wiarę wschodniego kościoła. Przyczyna tego widoczna i naturalna. Tułaczę ruscy, urodzeni w wielkiem xięstwie kijowskiem, uciekający od tatarskiego jarzma, byli wyżej ukształceni od swoich obcego rodu towarzyszy; a wiara była dla nich świętym zakładem nienawiści ku bisurmanom ciemieżcom. Ukształcenie wyższe i wiara gorętsza przeważały. Wszyscy nazwali się wspólnie imieniem Kozaków, które na wschodzie znaczy niepodległego wojaka.

Stan bytu, w pierwszej epoce zasiedlenia, musiał być jednostajny u wszystkich tych rojowisk

kozackich; da się więc zastosować do całego systematu to, co jeden pisarz, urodzony na brzegach Donu, mówi o kozakach dońskich; „Od ujęć Aksaju, do terazniejszej gubernii woronezkiej, w głąsły lasów, między nieprzebytymi błotami, rozsiane były małe, umocnione punkta, jedyne wtedy osady kozackie, znane pod imieniem grodzisk. W tych gródkach, złożonych z kilku chat albo ziemlanek, kozacy wiedli życie zupełne, jak na pochodzie, starając się mieć jaki taki przytułek i uchronąć od niepogody i sloty. Niechaj, mówili, płomień strawi nasze gródki; za tydzień zaplecimy nowe płoty, nabijemy je ziemią, pokryjemy wierzch izb, i gródek stanie gotów. Prędzej sprzykrzy się nieprzyjacielowi palić nasze liche siedziby, niżeli nam je odnawiać.“ Konieczność uchowania życia, ucieczką była źródłem kozactwa. Z pozyskanego bezpieczeństwa, wyradzała się potem żądza zemścić się nad wrogami i uczucie zupełnej niezawisłości. Ta niepodległość, zdobywcze, wzrastanie w siłę towarzysztw, dały poznać nędznym wprzódzie zbiegom powab kozackiego życia. Ciemny i gruby pierwej niewolnik, drżący przed batogiem, jeśli nie przed mieczem Tatarzyna, liczny, znieważany, teraz wojak, z mieczem w rękę, na rączy koniu, swobodny, jak wicher stepowy, sławiony w pieśni, równy swym towarzyszom, czyż mógł ten zbieg nie przyłgnąć całym sercem do kozackiego bytu? Najpiękniejsza branka była jego żoną, najpiękniejsza materya między zdobywcą, odzieniem; najlepsza broń wroga, orężem; u kozaka widziałeś zbiór odzieży i uzbrojenia rozmaitych narodów. Nagajskie, albo czerkieskie siodło; krymski, albo turecki czaprak; czerkieska opończa; ruska strzelba, oprawna po turecku; perska szabla; turecki sajdak i rohatyna. Taki był strój kozaka. Pokolenia rosły przy szczęku oręża i zgiełku bitwy, śpiewając: „ty żegnaj, zdrow bywaj cichy Donie-Iwanowiczu!“ płynął kozak pod Azów, Trapezund i Synope żupana się dobijać: odejżdżał do Krymu, na Wołgę, na Jaik; umierając w bitwie, całował garść rodzinnej ziemi, którą nosił przywiązana na piersiach i poselał wieść pożegnania żonie, błogosławieństwo dzieciom i dobrym towarzyszom; jeśli wracał szczęśliwie, dzielił się zdobywcą, hulał i nie troszczył się o dniu następnym. Dziecię jego bawiło się orężem; matka walczyła z napadającymi na grodziska.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wystawa obrazów w Poznaniu.

(Dalszy ciąg.)

Blanc należy do lepszych malarzy dysseldorfskich, a toli w dziełach jego także spostrzegamy zbyteczną miękkość i słodkawość, właściwą tej szkole. Zdaje się, jakoby skromne muzy nie nakazywały czci, lecz z kołkietyrą ubiegały się o nią. Blanc przedstawia obrazy średnich wieków, lecz chronił się ich myśli surowej, ścigając tylko za naiwnym wyrazem. „Dziewice jego,

obraz Złotniczanka, są utwory piękne i miluchne; ujmują cię za serce, pokąd się zatrzymasz przed obrazem, lecz giną z pamięci, gdy się usuniesz. Sołna dziewczica, powyżej wspomniana, rysów swoich nie zatrze w twój pamięci, bo równie, jak i ty cierpiała. Złotniczance Blanka życie się uśmiecha i ona życiu: ale wewnętrzne jego bogactwa, ani smutki, jeszcze się nie wykryły. Dziewica idąca do kościoła, w mierniej kopii nadesłana, podobać się niemogła; ulubionego germka kopii nie było. Obok p. Blanka, który z kolonii francuzkiej w Berlinie pochodził, wspomnijmy pana Decaisnes z Paryża, obraz przedstawiający Ninon de l'Enclos rozmawiającą z kochankiem: o ile malarz zaniedbał tę piękność, o tyle starannie odmalował wybranego jej serca: układ jego ciała i wyraz twarzy, nadając temu dziełu niejaka wyższość między obrazami drugiego rzędu. Wreszcie należy on do tego rzędu, który surowsza przystojność wykluczyłaby kazała z wystawy.

Kilka wizerunków ściągną naszą uwagę na Szrótę, i Ronca z Leszna: mąż w podeszłym wieku, świadczący o dobrym obeznanu się z naturą i zjednał sobie pochwałę u widzów. Pistoryusz w żydźcie żebraku i Zimmermann w żydźcie polskim, umieli doskonale wydać wszelkie rysy znamienitego tego rodzaju. Zyczyłbym, aby malarze, szczególnie nasi krajowi, nie zaniedbywali w większych kompozycjach, umieszczać tych potomków wschodu; różność i odmiennosc szczeptów sławiańskich, tatarskich, germańskich, i wschodnich, nada obrazom, historycznym i obyczajowym niemało różnorodności. Ponieważ wśród starozakonnych polskich, najwięcej pierwotnego charakteru tego ludu pozostało, i dotąd ogólna cywilizacja nie zatarała cechów znamienitych; przeto zwracam uwagę malarzy, którzyby ich użyć zechcieli, że w Polsce zdają się być dwa szczepty zupełnie odmiennie wyznawców starego zakonu. Jedni mają włos czarny, drudzy rudy: pierwsi są słabiści zbudowani, mają więcej zato zdolności; są to kupcy, lub uczeni; w ich rękę cały handel pozostaje, i oni to stanowią według słów polityka, całą marynarke Polski. Drudzy zaś muszkułarni i silni, jeśli się rękodzielnicy: oni to w królestwie biją drogi, kanały, pracują po hutach, utrzymują pocztę i wszelkie furmanki. Zahartowani w jeźdźeniu na koniu, są równie wytrwali, jak śmiały jeźdźcami i nieraz przypominają wśród koczowisk taborowych, pobratymców swoich na arabskiej puszczy.

Kilka biblijnych obrazów zawieszono na tej ścianie, n. p. Löwenstein, gdańszczanin, odmalował kilka scen życia Józefa: zyczyłbym, aby malarze biblijnych przedmiotów, zechcieli się obeznac z literaturą pokrewnionych narodów, w której kolorysty miłoścowy, nieraz wydatnijszym się staje. W piśmie świętym bowiem rzecz sama najważniejszym przedmiotem, a natchnieni wieszczę, nie mieli czasu ubierać ją w szaty: czynili to za nich Arabi i Persy, przejawiający biblijne podania. Tak n. p. do najpiękniejszych poematów perskich należy historia Józefa, pod imieniem Jussuf i Suleika: tłumaczenie niemieckie, którego widziałem próby, zupełnie świeżość wschodniej barwy zachowało. Müller nadesłał staranną kopiją Kamuzzinieh Madonny z gwoździkiem: wystawiono przytem kilka kopij z Rafaela na porcelanie. Smutny to jest widok, że dzisiaj w tym względzie ani własnych pomysłów, ani nawet naśladowania prawie nie widzimy. Uskarżają się Francuzi, że prawie żadnych obrazów tego rodzaju nie widzą: Niemniej i Niemcy jedynie z dysseldorfskiej szkoły podobnie utrzymują dzieła. Zdaje się, że świat gnuśny i wątpięcy, niezdola pojąć natchnień, które budziło słowo wiara i cześć Bogarodzicy. Międzyż nadzieję, że te głębokie religijne przekonania, które w jednej części Europy zmalowały, w innych o tyle silniejsze powstaną i okażą się na świecie.

Jeden jeszcze obraz zatrzyma nasze oczy: jest to Gudiu. Malarz ten, należy do pierwszych mistrzów francuzkich, a morskie jego obrazy, europejską zjednały mu sławę. Obrał on rodzaj bardzo ulubiony, obecnie



Złotniczanka, Nerenza. (Z wystawy pozn.)

przypisywać można rozwinięcie tego gustu, romansom Amerykanina Coopera, w którego ślady się rzucił namiętny, bezzasadny, lecz świetny Eugenid Suc, i nawiwny, a jednak prostota ujmujący kapitan Maryat. Pomiedzy malarzami, Francuzi najwięcej zakochali ocean i dzikie igrzysko jego wałów, a pomiedzy nimi wysoko cenić nam wypada Gudina. Widziałem trzy jego obrazy na wystawie berlińskiej, stanowiące rzeczywistą trylogią sztuki: północ, południe i zachód słońca. O północy widziałem mały statek, kołysany opodal od faru; kilku majtków w nim siedzi, patrzy na niebo i morze, jeden zaś przy rażnej lampie rozdarty żagiel zeszywa: niebo całe ciemne oblókły chmury, w jednym tylko miejscu księżyc się przedziera i rzuca wielki słup białego światła na wielkie morze, tak lekko zmarszczone, tak cicho obmywające piaszczyste brzegi ziemi, podrywające bez piany, malenkimi wały, zabierające nieco piasku, a w zamian konchy i muszle przynoszące. Ten spozynek całego przyrodzenia tęsknotą ogarnie duszę widza, a jednak rozpromieni ją ów księżyc rozpraszający cienie, i ten człowiek, co czuwa wśród uspionej natury. Jest bowiem dusza w tym obrazie; ta dusza jest majtek zawieszony na przodzie łodzi, co z taką uprzejmością zda się swój wzrok pograżać w morzu; on go pokochał, to morze, on w niem namiętnie miluje i cieszy się z cichego szumu wałów, stawających nad bezdenną przepaścią i z wielkiego odbicia księżyca na wodach, co tak jak

łódź jego po morzu, samotnie płynie po niebieskim oceanie. Jakież cale odmienny jest ten obraz drugi Gudina, w którym Golf Neapolu w południe wystawił. Na nadbrzeżu kilka grup Lazaronów, równie nędznych jak niechlujnych, opodal statek parowy odbijający od brzegu, a spóźnione Angliki pospieszają do łodzi, z jednej strony Wezuwiusz, z drugiej zwałiska pięknych budowli obraz zamykają; wszystko w nim jest satyrą, lub obrazem zniszczenia, niedoli; a jednak czemuż dzieło Gudina cię rozwesela? bo nad tym całym krajobrazem zarzucił malarz jakaś zaslone, światłem i ciepłem promienną, za której blaskiem nikną ohyda Lazaronów, nieszykowny pospiech Anglików, tragiczne, ruiny i wszystkie sceny pomniejsze. Caley ten obraz jednym oddycha akordem, który zagłusza wszelkie udzielne dysonanse: ujrzawszy go, poznasz, że Neapol na imię raju ziemskiego zasłużył, i nie zdziwi cię namiętny okrzyk Włochów: «reder Neapoli, e poi morir.» Pokąd jeszcze caley zagrzany tem ciepłem niebem i w oczach twoich się odbija iskrzący blask morza tego Golfu, zwróć twoje oczy na ten trzeci obraz, ostatni akt dramatyczny morskiej trylogii Gudina: wieczór się zbliża, morze rozhułane zda się uspakajać, ogromne, zielone wały wyrzucane w niebo, świadczą, że dopiero co gwałtowna burza ucihła, orkany już przestały bujać po oceanie, lecz ten obudzony z swojej spokojności, nie tak łatwo zdola do niej powrócić, i zewsząd piaszące

poskromić wały: spojrzysz i od razu uczujesz rzut wałów, huczenie ich spadku, pęd ich biegu, wilgocią nasiąkłe powietrze; cóż to za smutny widok oko twe zrazi i przestraszy? na łodzi kilku majtków z rozbitego okrętu, ocaliwszy życie, szukają portu schronienia: lecz wiatr im poszarpał żagle, a wały wydarły im wiosła. Ster ich urwany, a morze gwałtownie łodzią miota. Już dawno, dawno tak cierpią; głód i pragnienie ich wycieńczyły; jedni ulegli tej nędzy, drudzy ledwo jeszcze oddychają. Wtém zdala widzą okręt, zrywają się dwaj majtkowie, jeden ściga koszulę z wynędznionego ciała, i na kij osadziwszy, na znak niebezpieczeństwa podnosi: ledwo że kij uniósł, lecz już nie zdola nim machać w powietrzu: wspiera drugiego, chce krzyczeć, lecz usta otwarte, żadnego nie wydają głosu, bo już nań w piersiach tehu nie stało: nędza, rozpacz, okropność cała tej powolnej śmierci, wszystkie męki ich końca, w straszliwym ci stanie obrazie; widząc obu majtków truchlejsz. Cóż czyni trzeci? on jest nieczuły na bojaźń, nadzieję, bo już człowiekiem być przestał: zgłodniałym żebem zrywał kawał mięsa z leżącego trupa i głód swój zwierzęcy nasycił. Tu noc się zbliża, aby zarzucić swą zasłonę nad tę sceną okropności, a okręt z rozpuszczonemi żaglami ubiega i maluje przed luną zachodzącego słońca; w krótkce oba już znikną.

Innych szukaj obrazów, szukaj weselszych pomysłów, dysseldorfskiej szkoły, abyś odetchnął po tym obrazie Gudina; ulegniesz tragicznej chwili i smak twój dla innych piękności się zatrze, lecz usuwając się od Gudina, przyznaj mu talent i całą dzielność geniuszu. P. Münch, do którego sądu się odwołuje J. W. hr. Raczynski, zarzuca temu obrazowi, dwoisty koloryt wałów. Jakkolwiek mylną mogła być barwa zielono-czerwieniejąca tego morza, niknie ta woda przed ogromem pomysłu. Myśl w nim jest tak wielka, że oglądając zdrewniałego widza Nie zarzucajmy malarstwu, że tak straszliwych sięga wzorów; wszakże i poezja w nich smakować się ważyła; a Byron w Don Juanie podobny skreślił obraz i całe półpeśni mu poświęcił: podobnie i najdoskonalszy romans p. Sue Salamandra, również okropnie maluje chwile: ale czemuż w poezji szukać przykładów? Dzieje marynarki i wieści o rozbitych okrętach, tyle ich dostarczają, a jakiż obraz, jakież poema zdola powtórzyć zgrozę okropną, beczecne okrucieństwa i strasliwą rozpacz załogi Meduzy, rozbitej w roku 1816, której 150 ludzi się wyratowało na tratwie, a w skutku głodu, niekarność, wyuzdanych namiętności, zobopólnych mordów, tylko 15 przy życiu zostało. Kiedyż więcej sił człowiek okaże, jak w tych chwilach, gdy wszystkie żywioły z nim walczą, a znikąd zasilku, ani pokrzepienia wyglądać, ani nawet nadziei mieć nie może. Wrażenie zbliżonego skonań, stokroć większe jest od widoku zupełnej śmierci i trupów; dlatego też Kramera obraz, zgon przemycarza, w którym widzisz tylko trupa młodego majtki na łodzi, napelnionej towarami, a rzucanej po wałach, niezdolą trwałego zostawić śladu w pamięci. Gudina obraz po- znański wystawia chwilę zbliżającą się burzy. Czarna chmura, w ciemne kłęby zbita, wysłała przed sobą gonców po niebie: piękny błękit włoskiego nieba, już się zaczął szarawo przyciemniać, a morskie wały, silniejszymi powiewy wiatrów, odpychane od brzegów Neapolu, pienia się i szybiej powracają z gwałtowniejszym ruchem. Obraz ten był może za wysoko zawieszony na ścianie, tak, iż nie jeden z przechodźców nie mógł dostrzedz jego szczególnych piękności: trzeba bowiem było wynaleść sobie miejsce stosownie oddalone, do ocenienia jego cudownej perspektywy; przegląd wskroś pyłszonego łuku walącego się gmachu, nie miała jest okrasa tego obrazu.

Odechodząc od niego z niejakim żalem, odwrócić się od tej ściany, aby ścianę trzecią ostatniej sali szybko przebiegnąć okiem. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Wspomnienie ś. p. J. O. Xięcia Antoniego Radziwiłła.

(Z Magazynu powszechnego.)

Zmarły w roku 1832, w 58 roku życia swego Antoni książę Radziwiłł, Namiestnik w. x. poznańskiego, należy do tych niewielu kompozytorów, których dzieła nie mogą pojsć w zapomnienie. Z zapalem kochał on sztukę, zgłębiał ją z pilnością jak najusilniejszą, a przeto nabył nie tylko gruntownych i obszernych wiadomości w przedmiocie kompozycji, lecz był także znakomitym wirtuozem na wioloncelli. Stanem i dostojenstwem swoim wolny od onych błachych okoliczności, które przygniatają nietylko pospolicie, ale wysoki nawet talent, zmuszając go do tworzenia tego, czego by nie życzył, i wtedy, kiedy nieczuje usposobienia ku temu. Xiążę Radziwiłł pisał nie wiele, ale z natchnienia, w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu.

Zgasły książę namiętnie kochał się w Fauście Goethego; jego dusza poetyczna znajdowała doskonały swój wyraz w tym wysokim utworze; przemówiła w niej potrzeba przeniesienia swego boskiego dramatu w poetyczny świat wdzięków, wyspiewania onych dzikich namiętności, owęj miłości ognistej, tej dziwnej walki niebios z piekłem, która tak go zachwycała w kolosalnem dziele Goethego. Tak więc Faust xięcia Radziwiłła, urodził się nie tą koleją, którą zwykle większa część oper na świat przychodzi: muzyk nie przepisywał tematu swojemu natchnieniu, ślepo nie trzymał się słów autora; znalazł on utwór zupełny, doskonały, pojął, przyswoił, zgłębił, a uczuciem potem przelał w dźwięki. Utworzyć Fausta muzycznego — myśl śmiała i wzniosła, — była to myśl stała i nieodstępna dojrzałych lat życia Radziwiłła. Dokonał on Fausta na 3 lata przed śmiercią.

Sam poemat, tak jak go Goethe utworzył, wywołał już w pole geniusz muzyczny. Ow zgiełk scen głęboko dramatycznych z czysto lirycznymi, bardzo przypada do muzyki, z niejakimi wszelako wyjątkami. X. Radziwiłł napróżd ułożył muzykę do śpiewów Małgorzaty i innych ustępów lirycznych, potem już przystąpił do wypracowania całych scen i dla każdej znalazł w bogatej swęj duszy wierne, doskonałe odbicie się. Niektóre części Fausta wykonał w formie melodramu; w innych muzyka milknie i osobom działającym zostawia przygotowanie do dalszego działania; lecz skoro to nastąpi, wnet bierze je muzyk pod swą władzę i zaczyna swobodnie je rozwijać. Ta kolejna odmiana słów, melodramu i stylu oper, w świetniejszym blasku przedstawia piękności muzyki i poezji; obie sztuki bynajmniej sobie niezawadzają, lecz już biorąc z sobą rozbrat, już jednajac się z sobą, potężnie działają pospolu na duszę słuchacza. Z tem wszystkiem niepodobna było obejść się bez niejakich odmian w texcie, i za zgodą samego poety niektóre sceny większe otrzymały rozwinięcie.

I tak n. p. w kościele, kiedy Małgorzata rozmawia z swym sumieniem, uosobionem w postaci Mefistofelesa, i słyszy chór śpiewający, pierwsze zwrotki z Requiem, numera te występują w muzyce xięcia w zupełności, i podług naszego zdania, jest to jedno z najcelniejszych, najgłębszych miejsc w jego partyturze. Tak jest wykończono, iż po krótkiej introdukcji, chór śpiewać zaczyna Requiem aeternam i w tymże czasie Mefistofeles mówi swój pierwszy monolog recitativo, a ostatnie słowa:

„Gretchen, wo stehst dein Kopf,
In deinem Herzen welche Missethat?“

przecudnie zlewają się z ostatnimi akordami chórów: Requiem aeternam dona eis Domine. Co za poezya! straszliwy krzyk sumienia pokrywa się spokojnemi, rozgrzeszającymi akordami religii, a potem o jakie słodkie solo w chórze: Te decet hymnus! wraz z groźnemi, przerywanymi wierszami dies irae, słyszeć się daje głos rozpaczliwej Małgorzaty:

„Weh, weh war' ich den Gedanken los!“

Krzyk Małgorzaty: Luft, Luft! wylewający się ze wspaniałego zakończenia obrzędów pogrzebowych, musi zadziwiające czynić wrażenie. W ogólności to zjednoczenie nieba i ziemi, rozrzucającej religijną modlitwę z bolesnym krzykiem namietności, wydaje głęboką poezją w duszy muzyka. Oto są odmiany, jakie x. Radziwiłł w swym Fauście uczynił. Z resztą niektóre chóry sam Goethe dopełnił dla znakomitego muzyka; podobnie przerobił scenę w ogrodzie w taki sposób, iż stała się przydatną do muzycznego wykonania.

Całość i części, wszystko w tym dziele głęboką poezją oddycha. Artysta korzystał ze wszelkich nowych sposobów muzyki, ale nigdzie nie użył ich na złe. Niemalże numerów, gdzie tego słowa wymagały, odznacza się dzikością stylu; nie jest to jednak zgiełk wrzaskliwy Belliniego, ale dyssonanse Haydena i Beethowena, wysoką piękność posiadające. Często w tej muzyce wioloncella pierwszą gra rolę, pamiętka szczególniejszego przywiązania xięcia do tego instrumentu, na którym grał po mistrzowsku.

Faust jeden raz tylko wykonany był w całości, w roku 1820, w zamku dostojnego kompozytora, w dzień imienin jego małżonki. Dekoracje, sceny i ubiory tego pamiętnego wystawienia, litografowane na żądanie xięcia, dopełnione wyszły niedawno w Berlinie, zeszytami, wraz z partyturą, którą darował zgasił xięciu akademii śpiewów tamże. Akademia poleciła znanemu muzykowi Schmidt, który przełożył ją na fortepian z śpiewem i wydał ją nader ozdobnie w roku 1835; przyłączyszy tu jeszcze scenę sabbatu, której dostojny kompozytor niedokończył, lecz tylko rzucił główne myśli, rozwinięte po jego śmierci przez Rungenhugena, dyrektora muzyki w akademii berlińskiej.

Przyczyna, dla której ten głęboki utwór mu-

zyki najnowszej, nieokazał się na żadnym teatrze leży w trudnościach scenicznego wykonania takiego dzieła, jakim jest Faust Goethego. Oprócz przedstawienia w zamku samego kompozytora, o którym się wyżej wspomniało, nieraz był Faust wykonywanym częściowo w gronie rodzinnym xięcia, a mieszkańcy Berlina wiele jego numerów z zapalem słuchali w akademii śpiewu. (M.p.)

Kronika literacka.

(Dokończenie.)

Wjazd Carów do Moskwy.

Wieżdząc w zamek Krymgród, stanęli po lewej stronie na rynku Pajźnicy, podle nich Turcy, Arabi i Persowie, trzymając konie swym szeregiem, wedle onych ku bramom stali dwiema pułkami, mimo których jechali w zamek, dworzanie carscy i synowie Bojarscy. Potem panowie Mniskowie Krasnostawski, Lwowski i Sanocki Starostowie, panów Stadnickich trzech, Marcin, Andrzej, Jerzy, pan Podstoli Niemojewski, panowie Lawrynowie, xiązę Wiśniowiecki, pan Lubomirski i innych wiele. Potem Jego Mość pan wojewoda sandomirski, i z nim murzyn po turecku świeżo ubrany. Potem Carowa w karecie onej, co przed namiotem stała, w dziesięcio tarentowych koni jechała. Tam na żadnym koniu woźnica nie siedział, jeno przy każdym koniu szli pieszo koniuszowie, trzymając koni cugle. W tej karecie siedziała przed Carową tylko Ich Mość pani Starościna Sochaczewska. Halabardnicy po obu stronach, a przy samej karecie szło sześć lokajów w kabacich i pludrach zielonych, aksamitnych gładkich, a w płaszczach czerwonych półszkarłatowych. Gdy już do bramy zamkowej wieźdząc miała, muzyka polska na górze z okien grała pieśń: „w każdym czasie, tak w szczęściu, jako i nieszczęściu.“ Za Carową jechała karetka druga jej własna, w której ośm koni białych szło, aksamitna czerwona a wewnątrz wszystka złotogłowem czerwonym w posrodku obita, a w niej stały trzy stołki z tegóż złotogłowu złotem kosztownie oprawne; woźnicę w żupanach i ferezyach czerwonych atlasowych, szory na koniach aksamitne czerwone. W tej karecie nie siedział nikt. Za nią szła karetka trzecia w ośm koni białych, szór aksamitny czerwony, w srebro złociste oprawny; woźnice w czarnych żupanach aksamitnych, a w czerwonych atlasowych ferezyach; siedziała w niej pani Tarłowa, Chorążyna, pani Herbutowa, pani Kazanowska. Po niej szedł brożek *) z drzewa rzezany, złocisty, czerwonym aksamitem futrowany; franzle złote, galki złociste, sześć koni jabłkowitych, szor z aksamitu zielonego, woźnica w atlasie zielonym. W tym brożku siedziały dwie panie. Za tym szedł drugi brożek czarnym aksamitem futrowany, galki złociste, w sześć koni

*) Brożek, rodzaj mniejszego pojazdu.

karych, woźnice w czerwonych adamaszkowych fe-rezyach, pokojowi pani wojewodziny siedzieli w nim. Potem szło kilka karet, w których sie-działy panie stare i frauncymery.

Jest tam, skoro wjechawszy w zamek z bra-my, na prawej ręce cerkiew Wniebowstąpienia Panskiego, przy której monaster nowo dla matki Carskiej z drzewa budowany. Do tego mona-steru Carowa zaraz wysiadła, i mieszkała tam przy matce Carskiej pięć dni, gdzie też Car by-wając u matki, chodził po kilkakroć, z nią się widywał. Będąc w owym monasterze, musiała swego nabożeństwa katolickiego zaniechać, bo nie tylko w dzień powszedni, ale i na Świątki nie dopuszczono jej tam dla słuchania Mszy Ś. kapłana mieć, ani też do ojca jej dopuszczano chodzić, jedno frauencymerowi dopuszczono do gospody pani Starościny Sochaczewskiej na na-bożeństwo. Ich Mość pan wojewoda sandomir-ski stanął we dworze Borysa Godunowa, który jest w zamku budowany; inszych panów w mie-scie na różnych miejscach postawiono.

Nad wieczór tegoż dnia, przyjechał od Cara do Ich Moć panów posłów Iwan Hromalin. Po-wiedział, że jutro mają być u ręki Jego Cesar-skiej Mości, chcąc mieć na piśmie tych, co mają witać Cara, i upominki, jakie mają być, żeby była wiadomość. Ich Mość p. p. posłowie spi-sawszy każdego z nas, mianowicie, cośmy witać mieli, dali mu na karm.

Zamek w Olesku.

(Dokonczenie).

Jeśli o co, tedy o to jestem sollicitus, aby w je-zykach się ćwiczyli. Co jako rzecz jest potrzebna ka-walerom i ludziom zacnym, na dworach monarchów, et in administranda Rep. bawia się, codzienna expe-rientia uczy.

Łacińskiego języka uczyć się będą w szkole, et stilum exerceendo, ale do tego trzeba i łacińskiej kon-wersacyi, bo wszystkich języków najprzód konwersacya nauczy. Przeto doma u siebie, lub gdy obcych niebędzie (bo tego kapłana, który z nimi będzie jadł, za obcego mieć nie trzeba), przy obiedzie i doma inszych godzin, kiedy gości niebędzie, będą mówić z p. Rożeń-kiewiczem p. Wydzgi synem, który kilka lat już słu-chał retoryki u Jezuitów w Sandomirzu. Pewniem też tego, że w szkołach, in Classibus ex praescripto samych mistrzów nie będą inaczey mówić, jeno po łacinie.

Niemiecki język, jest Polakom bardzo potrzebny, którego, gdyby się w Krakowie nienauczyli, przeciwko mojej woli i przeciwko mojej intencji, musiałbym ich dla tego samego do Niemiec posłać, w czymby mi bar-dzo zkonturbowali koncept, który mam o ich, da Bóg, peregrynacyi. Dla tegoż bardzo proszę pana Orchow-skiego, aby tego pilno dozierał, żeby się serio et ex professo uczyli po niemiecku. Gdyż, jako mam wiadomość, niektórzy z Polaków osobiwy progress w tym języku wzięli w Krakowie, jako to znać pan Głębocki; ma tam być jeden człowiek, który uczy ex professo tak po niemiecku, jako i po łacinie, i pod tym słyszę pro-fecit p. Głębocki. O tego, albo jeśli by ten w Krako-wie nie był, o drugiego takiego, starać się koniecznie trzeba, i żeby miał pewną swoje na dzień godzinę, albo jeśli by to być mogło, drugą, poranną i poobiednią,

żeby czytał im niemiecznę, to jest, żeby w gramma-tyce ich niemieckiej informował, dawał im także ver-siones i argumenta, jako w łacinie czynią: i żeby im autora jakiego explanował. A co się zaś tkie praxim po niemiecku, żeby także i przy stole bez gości, i doma u siebie nie mówili inaczey z panem Zdarowskim, jeno po niemiecku, dozierać tego ma pilno p. Orchow-ski i o takiego się mistrza starać wszystkim sposobem, by też nań niewiem jaki kosztłożyć, bo niech wie pan Orchowski, że mi jest tak bardzo cordi, aby się tego języka w Krakowie nauczyli. O co i synów ojcowsko proszę i napominam: wszak z łaski Bożej pamięć mają dobrą i chęć do tego, a niech też odemnie wiedzą, że zacnych kawalerów tych wieków nie bardziej zdo-bi, jako umiejętność różnych języków, przyda się to i w wojsku, na dworach monarchów, przyda się to i do le-gacyi, które co wiedzieć, jeśli też i oni nie będą mieć na sobie swego czasu. Piękna to rzecz, kiedy oni z kawalerami różnych narodów i różnych dworów mówić będą. Dlatego się obszerniej o tym punkcie pisze, aby smakować im jako najbardziej i ustawicznie wiadomość obcych języków, żeby i tu się w Krakowie ponemiecku pilnie uczyli, i zawczasu smak brali do inszych w peregrynacyi swojej języków, jako to: francuzkiego, włoskiego etc.

Turecki język, jeśli komu, tedy nam potrzebny, a zwłaszcza szlachcie, która tu na Rusi mieszka w tém od nich sąsiedztwie, i w tych ustawicznych poselstwach wojnach i kłótniach, które się z nimi dzieją, że ta ściana nasza ruska od nich jest obtoczona. Zyczyłbym z serca, żeby za tą okazją tak aliud agendo (jak uo-wią) od tego Francuzika, przejęli cokolwiek języka, jedno potrzeba, żeby się ten Francuzik po łacinie mó-wić wprowadzał, żeby go tym sposobniej, nie tylko o wokabuly, ale też i o phrases et verborum coniuncti-ones pytać mogli. A jeśli by też Francuzik do języka przedjęt przywykł polskiego, niż łacińskiego, to go po polsku pytać, ale bym wołał, żeby pierwój przywykł językowi łacińskiemu, boby i łacińskiego języka z nim synowie moi tym częstsze exercitium mieli. Rozumiem jednak, aza i łaciński język przedko pojmie, umiejąc po francuzku i trochę po włosku, bo te języki bliżej daleko accedunt do łaciny, niż nasz; na tém wszystko zależy, aby p. Orchowski przestrzegał, żeby in conver-satione, po turecku ich uczył, posługując im, grając z nimi i biegając: jeśli bym postrzegł, żeby synowie moi jakikolwiek w tym języku progres mieli, niecierż-koby mi koszt ważyć i potem, a zaciagnąć z Carogrodu jakiego lub Greczyna, lub Włocha ad ulteriorem usum i bieglejszego w tym języku, żeby potym i na peregryna-cyą jechał do cudzej ziemi z synami moimi, aby non intermittant exercitium języka tego, czego serdecznie życzę.

To niech p. Orchowski inkulkuje synom moim odemnie, jeśli się chcą nauczyć języków, aby konwer-sując, nie wstydzieli się, co złe rzeką, bo milezieniem żaden się żadnego języka nie nauczy. A też dawno powie-dziano: qui nunquam male, nunquam bene.

O stole nawet synów i ekonomizemem urządzeni-ich pensyi niezapomniał troskliwy ojciec, gdy pisze:

Jako we wszystkim, tak i w jedzeniu, nie życzę, aby się synowie moi marnotrawstwa i luxum uczyli, jednak tego chcę, aby przecie według stanu swego, w którym ich Pan Bóg mieć chciał, żyli non sordide, gdyż i tu, u mnie w domu jeść się, chwala Bogu, po ludzku nauczyli. O nowalią, o zwierzynki tam nie-trudno, jako to o rozmaite ptaszki, niech to zdrowi jedzą, kiedy będą mieć tego commoditatem.

Bankietniczkami też nie chcę ich mieć, bo tam do szkoły dla nauk jadą; niechcę jednak, aby jako pustelnicy bez ludzi żyli, i jadali; w Święta i w Nie-dziele, i we dni od nauk wolne, chcę, aby nigdy bez jakiego Professora nie jadali, alternatim biorąc to tego, to owego, skoro się z nimi poznają, to raz z mniej-szego, drugi z większego Collegium.

